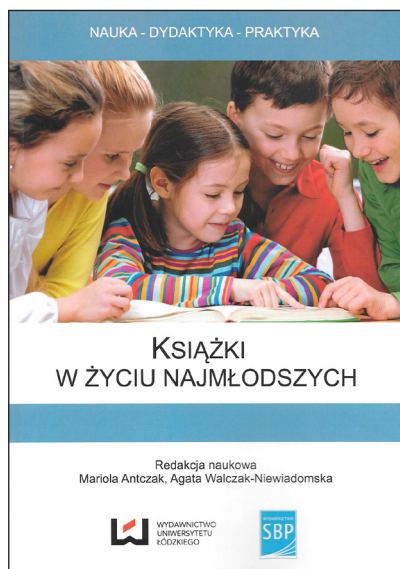


JACEK WOJCIECHOWSKI

Książki w życiu najmłodszych, red. Mariola Antczak, Agata Walczak-Niewiadomska, Łódź: Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego/Warszawa: Wydawnictwo SBP 2015, s. 143 (Nauka – Dydaktyka – Praktyka, nr 160)



Z kolei ten tom jest wśród tych trzech warszawsko-łódzkich współproduktów najlepszy, zawiera bowiem mniej „knotów”, jakkolwiek zachowuje niestety wszystkie, zgłoszone już, mankamenty kiepskiej roboty redakcyjnej. Ale przynajmniej coś z niego wynika.

Świetny jest zwłaszcza inauguracyjny tekst **Hanny Dymel-Trzebiatowskiej** o podwójnym – dziecięcym oraz (ukrytym) dorosłym – adresacie literackich książek dla dzieci, zilustrowany przykładem opowieści Töve Jansson o Muminkach. Bo to jest w istocie oryginalny traktat o wielowarstwowości oraz o metaforyzacji literatury pięknej w ogóle, wysoce kompetentny i frapujący. Ujaw-

nia ogromną złożoność czytania literackiego oraz jego wielostronną efektywność w dziecięcym wykonaniu, a także korzyści ze wspólnych lektur domowych dla obu czytających stron. O tym trzeba wiedzieć.

A oto nareszcie pożyteczny tekst zagraniczny (w języku angielskim), którego autorem jest **Murat Sayim** z Uniwersytetu w Stambule. Pisze zaś o bogatej różnorodności stylów odbioru literatury przez dzieci oraz o złożonych – czasem korzystnych, a niekiedy negatywnych – skutkach ingerencji dorosłych w dziecięcą praktykę lekturową. Jak mało kto, podkreśla nieocznione korzyści z fikcjonalności, którą dzieci potrafią zręcznie wmontować w rzeczywistość otaczającą – a także sygnalizuje kompensacyjne skutki

czytania, czasowo łagodzące konfliktowy charakter egzystencji w świecie dorosłych.

Sayim swoje wywody ilustruje powieścią *Betonowy ogród*, której autorem jest Ian McEwan, ale jakoś panie redaktorki nie zadbały o to, żeby odniesienia (na s. 54–56) skojarzyć z jej polską wersją¹. Nawet nie ma sygnału, że taka istnieje. Otóż właśnie również na tym polega nieporadne redagowanie tej książki.

Także o potrzebie fikcji w opowieściach dla dzieci, dostrzeżonej również w lektorskim czytaniu na rodzinny użytek, interesująco pisze **Alicja Mazan-Mazurkiewicz**, odnosząc się ilustracyjnie do serii wydawniczej „Kolekcja dziecka”. Otóż inaczej niż niektórzy dorośli czytelnicy oraz interpretatorzy, dzieci doskonale oddzielają rzeczywistość od fikcji, co nie przeszkadza im następnie w kreowaniu własnych wyobrażeń synkretycznych. Ta wspaniała umiejętność musi być jednak rozumnie wdrażana i pielęgnowana, właśnie przez inspirowane a później umożliwiane i ułatwiane procesy czytelnicze. Jeśli tego nie ma, to z czasem tworzą się w świadomości dotkliwie luki mentalnościowe.

Ten pożytek oraz tę konieczność potwierdza **Lidia Urbańczyk** w wypowiedzi na temat horrorów – a dokładniej, jak to nazwała, „horrorków” – lokowanych w literaturze i w filmie, z przeznaczeniem dla dzieci. Które także z tym radzą sobie doskonale, kontrolując wywoływane emocje, ale pod warunkiem umiejętnej konstrukcji realizacyjnych. Co autorka roztrząsa szczegółowo, wyżej ceniąc horrorki polskie, ze względu na ich humorystyczne zabarwienie dystansujące, w przeciwieństwie do zagranicznych, które często nadmiernie epatują grozą oraz eskalują strach. No bo straszyć trzeba umiejętnie. Przy zachowaniu odpowiednich proporcji nastrojowych to są narzędzia, które – obok przyjemności czytania – generują również reakcje **kompensacyjne**, więc odfiltrowanie niepokojów, których dostarcza bieżąca codzienność. Skoro bowiem jedne postrachy są na niby, no to może pozostałe też...

Szereg pożytecznych uwag do poglądów na wczesną naukę czytania dopisuje **Janina Karoń**, kojarząc wdrażanie do czytania z rozwojem kompetencji werbalnych oraz myślowych. Jakkolwiek tekstowy balans pomiędzy koncepcjami Piageta i Wygotskiego nie zawsze jest bezkolizyjny. Natomiast nie po raz pierwszy pojawia się krytyczna ocena czytelniczego przygotowania w przedszkolu (u nas bardzo iluzorycznego) i w pierwszych klasach szkoły podstawowej. Bo zresztą krytyka współczesnych systemów i reguł edukacji w ogóle nasila się ostatnimi laty bardzo².

¹ I. McEwan, *Betonowy ogród*, przeł. M. Obarski, Kraków: Znak 2008.

² Zob. np. G. Thomas, *Education*, Oxford: Oxford University Press 2013.

Ani praktykowana metodologia nauczania, ani spisy lektur (w Polsce tych samych od lat) nie dają żadnej gwarancji, że w życiu osób tak właśnie wyedukowanych czytanie stanie się kiedyś biegłe oraz użyteczne. Więcej w tym zakresie zależy od starań domowych, ale to zupełnie inna sprawa. Nie powinien więc dziwić późniejszy, częsty rozbrat z czytaniem, a nawet rozległe zjawisko wtórnego analfabetyzmu. Czemu nie zapobiegną żadne doraźne **projekty** ani spontaniczne **akcje**.

Z tym że próbując odnieść się do konkretnych, autorka przywołuje (i to ze słyszenia!) badania IKiCz BN, w złudnym przekonaniu, że sygnalizują one stan czytelnictwa w **całej** populacji Polski, a to nieprawda: trzeba przeczytać, co tam **rzeczywiście** napisano. Takich błędów nie wolno popełniać w publikacjach o naukowym zacięciu i to należało na etapie redakcji temu skorygować.

O inicjatywie darmowego wyposażania w książki rodzin nowo narodzonych dzieci, z ogólną aprobatą pisze zaś **Michał Zając**, informując, jak to wygląda w Polsce oraz w innych krajach, oraz sygnalizując niejaki wątpliwości, a także różnice w postępowaniu. Niekiedy mianowicie ma miejsce dostarczanie automatyczne, a czasem na zamówienie – bo zresztą nie wszyscy rodzice sobie tego życzą. Raz zaopatruje się tylko noworodków, a gdzie indziej bywa, że także później – w kontynuacji. Koszty ponosi się ze środków centralnych albo lokalnych, lub (rzadko) z pozapublicznych. Przekazanie książek odbywa się już to w szpitalu, bądź później przez pielęgniarki, względnie za pośrednictwem bibliotek publicznych. W grę zaś wchodzi książki dobierane spośród istniejących, ale zdarza się niekiedy, że są specjalnie „inspirowane” i wydawane właśnie dla dzieci najmniejszych. Tak czy inaczej, idea jest znakomita i bywa na świecie wdrażana coraz szerzej.

W tym tomie jednak – to tyle dobrego. Nie udało się bowiem **Wandzie Matras-Mastalerz** tekst o niektórych (źle i tendencyjnie dobranych) funkcjach książek dla małych dzieci. Nie dosyć, że niezbyt klarownie napisany, to jeszcze nadmiernie eksponujący tylko jedno, biblioterapeutyczne zadanie, do czego w żadnym wypadku nie można sprowadzać funkcji kompensacyjnej. Mam w ogóle wątpliwości, czy określenie „terapia” jest tu rzeczywiście uprawnione. Takie wprawdzie są główne zainteresowania samej autorki, ale tego ujęcia nie można stosować w odniesieniu do **całego** funkcjonowania piśmiennictwa dla dzieci, a tak to wygląda. W tym ogólnym rozumowaniu tzw. **bajkoterapia** – jako pojęcie szczegółowe – ma na dodatek bardzo mizerną podbudowę naukową (o ile w ogóle ma), toteż traktowanie jej w kategoriach psychokorekty uzasadnia się dosyć kiepsko. Być może więc należałoby nad tym popracować przede wszystkim koncepcyjnie? Trudno to wykluczyć, lecz jednak nie w taki sposób.

Jeszcze bardziej w ogólnikach tonie wypowiedź **Agaty Walczak-Niewiadomskiej** na temat – skądinąd newralgiczny i ważny – udziału ojców w czytelnym przysposobieniu dzieci, w szczególności synów. Poza chaotycznym przywołaniem wyrywkowych sygnałów zagranicznych nie wynika z tego nic. Zaś relacja **Sylwii Borowik** o muzealnym programie, nastawionym na młodzież, jest nadmiernie detalicznym opisem jednostkowego przedsięwzięcia – interesującego zapewne, ale w takiej referencji nie nadaje się do publikacji. Zwłaszcza w **tym** tomie, gdzie w tytule zapowiedziano wszak, że ma być o **najmłodszych** oraz o **książkach**.

Jednak szczytowym nieporozumieniem było włączenie do książki anglojęzycznego, multiautorskiego tekstu z Turcji, relacjonującego badania, których... (jeszcze?) nie zrealizowano! Nie dosyć, że trudno zrozumieć, o co mogło chodzić, to jeszcze jakoś wywodu i referencji jest żadna. Kto coś takiego zakwalifikował do druku, chyba nie wiedział, co czyni.